

## Spotwornienie

Dzień był ponury jak pracownik kostnicy. Niebo zasłane sinymi chmurami. Siąpił zimny, nieprzyjemny deszcz. A ja wyglądałem przez okno i jak zwykle widziałem różne dziwne rzeczy.

Chodnikiem między blokami szedł chudy jak przecinek, nijaki mężczyzna w szarym płaszczu. I nie byłoby w tym nic wyjątkowego, gdyby nie fakt, że w plecy miał wbity nóż. Ale zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Szedł spacerowym krokiem owiany chmurą mlecznego dymu z papierosa.

Może to duch, a może tylko wyobraźnia?

Spojrzałem na blok naprzeciwko. Na piątym piętrze mężczyzna zakładał rękawice bokerskie – ponoć kiedyś był bokserem. Ale to było kiedyś. Teraz, kiedy je zakłada, to jedynie żonę boksuje. Piętro niżej inny bije gołymi pięściami. W ogóle w co drugim mieszkaniu ktoś kogoś pierze.

Czasami wyobrażam sobie, że moje miasto jest skryte pod wielką kopułą. Napuszczają tu sztucznych chmur, powiewają sztucznym wiatrem. Był nawet kiedyś film na ten temat. Tylko że tam wszyscy byli przyjaźnie nastawieni i było ładnie, a tu...

No i tak sobie wyobrażam, że ponad chmurami do kopuły przytwierdzone jest nowoczesne, naszpikowane techniką pomieszczenie, takie obserwatorium. I siedzą tam wąsaty siwy profesor w okularach, jakiś wojskowy o kwadratowej szczęce i asystujący im szczurkowaty techniczny w szarym kombinezonie.

Naukowiec zwraca się do wystannika armii:

– Patrz pan, a tu testowaliśmy specjalne fale mające na celu wzbudzenie agresji u mężczyzn. Najpierw testowaliśmy je na osobniku numer 3605.

Na ekranie monitora pojawia się stop-klatka z bokserem tłukącym żonę.

– Potem testowaliśmy na osobniku numer 4036.

Na ekranie monitora pojawia się stop-klatka z tym, co okłada małżonkę piętro niżej.

– A potem zrobiliśmy test zbiorowy. Wzmocniliśmy sygnał i hurtem puściliśmy go osobnikom po norach.

Ekran dzieli się na wiele miniekranów i widać mnóstwo stop-klatek z mężczyznami katującymi swe kobiety.

Po twarzy wojskowego zaczynają płynąć łzy. Wyciąga chusteczkę. Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i ociera kąciki oczu, po czym odpowiada łamiącym się głosem:

– Moje gratulacje! Czy pan wie, jakie wielkie znaczenie dla armii będzie miało pańskie odkrycie?

Takie historie dopowiada mi wyobraźnia, gdy widzę, co się dzieje w sąsiednim bloku.

Zgrzyt drzwi. Do mieszkania wtacza się ojciec. Nienawidzę go, a on mnie.

Wchodzi do pokoju. Dostał zasiłek dla bezrobotnych. Jest pijany i krzyczy:

– Byś, darmozjadzie, zapracował na żarcie, które dostajesz! Ciężko zapra... zdobyte pieniądze nam przejadasz, ty pokraku!

I oczywiście walnął mnie na odlew w narośl na czole. Codziennemu rytuałowi stało się zadość.

Na szczęście na tym poprzestał. Odwrócił się i wytoczył z pokoju. Popętlł do dużego, gdzie matka postawiła talerz z zupą na stole. Ojciec odrzucił krzesło i stanowczym gestem pokazał palcem na podłogę. Matka wiedziała, o co chodzi. A spróbowałaby się nie domyślić – już on by jej przetłumaczył.

Była teraz na czworaka na miejscu krzesła. On usiadł jej na plecach i zaczął jeść zupę. Nie spieszył się.

Matka też była pijana. Coraz częściej od niej śmierzdziało i potworniała – wstępował w nią demon, który kazał jej wpadać na ściany i bełkotać coś niezrozumiale. A ostatnimi czasy potworność do tego stopnia ją wypełniła, że z matki w niej już prawie nic się nie ostało. Była jak ojciec, tylko łżej biła. I tylko wtedy, gdy ojciec był poza domem. Ojciec... on też był spotworniały. Z ojca to już tu tylko puste słowo pozostało.

Ze ścian w pokoju odzaziła płatami farba, jak skóra chorego na łuszczycę albo inne skórne choroby. Po podłodze walały się koty kurzu. Jedyne koty, jakich nie boją się myszy. Jedna z nich wyszła z dziury w rogu pokoju. Podbiegła do tak zwanej matki i stanęła przed nią słupka, trzęsąc wąsikami i przyglądając się z ciekawością cudacznej scenie, jak to mąż siada na żonie i zaczyna jeść zupę.

Mysz staje słupka i wpatruje się w żonę, strzygąc wąsikami.

Matka tedy zaczęła się trząść i krzyczeć. Wstrząsy przeszły na ojca, któremu zaczęła trząść się ręka z tyżką pełną zupy. Zupa zaczęła się rozchlapywać na boki. I w talerzu też zafalowała, bo i stół się trząsie. A jakże!

U innych sąsiadów też odczuwane jest „trzęsienie”. Piętro niżej brzęczą butelki stojące na podłodze i talerze suszące się na suszarce. Wstrząsy objawiają się u nich na różne sposoby, odrywając ich od codziennych czynności.

Z dachów kamienic stojących obok bloku spadają pojedyncze dachówki. Z drzew sypią się liście.

Twarz ojca zrobiła się czerwona – wiedziałem, że nabrzmiała w nim spotworniałość i będzie szukała ofiary. Kiedyś broniłbym matki, przylegając ojcu do nogi, ale odkąd sama tak spotworniała, wolę zostawić demony samym sobie – niech się kotłują we własnym sosie.

By nie ryzykować pobicia, czym prędzej wymknąłem się z domu.

Zbiegłem na parter i wybiegłem z klatki. I cóż widzę? Taką oto scenę:

Na drzewie przed blokiem właśnie wieszka się mężczyzna. Drzewo przewraca się. Niepocieszony mężczyzna odwiązuje linę i się oddala.

Obszedłem ostrożnie drzewo, które zaczęło się powoli podnosić. Do korzeni przy-mocowany miało łańcuch, który nignął w dziurze w ziemi. Jakaś potworna siła wciągała łańcuch, sprawiając, że drzewo znowu znalazło się w pozycji pionowej.

Czasami się zastanawiałem, czy te dziwne rzeczy, które widzę, to takie maskowanie rzeczywistości, by nie dostrzegać prawdy. Bo może tak naprawdę idę teraz chodnikiem, a za mną idzie grupka rówieśników, którzy wyzywają mnie od pokrak, opluwają i obrzucają kamieniami?

Trzęsienie ziemi wywołane krzykiem matki ustało. Kiedyś wydawało mi się, że aby było trzęsienie ziemi, trzeba, by po drugiej stronie globu ktoś wiercił dziurę młotem pneumatycznym. Teraz wiem, że wystarczy krzyk wywołujący odpowiednią wibrację.

Może jestem nienormalny? Może oprócz narośli na czole mam jeszcze coś nie tak z głową?

A jeśli tak, to uważam, że mam do tego prawo. Całe życie w strachu, ani chwili spokoju. W domu strach przed rodzicami, poza domem przed rówieśnikami. A tak, jeśli te dziwne rzeczy nie są prawdziwe, to przynajmniej mam swój świat, który pozwala mi się oderwać od tego wszystkiego i co chwilę zaskakuje.

Ale i tak coraz bardziej miałem dość. Coraz częściej chciałem przestać istnieć. Bo to wszystko było takie bez sensu. I teraz też bez celu szedłem przed siebie między sypiącymi się ze starości kamienicami, coraz bardziej mokry, coraz bardziej przemarznięty.

Bez sensu...

Nagle dostrzegłem wielką kolejkę ciągnącą się wzdłuż ściany kamienicy. Zaintrygo-owało mnie to – czemu w taką pluchę tyłu ludziom chce się stać? Pewnie stoją za czymś wyjątkowym...

Z wrodzonej ciekawości postanowiłem to sprawdzić. I już nie czułem zimna i smutku. Zastąpiły je ekscytacja i zaciekawienie.

Szedłem wzdłuż kolejki. Ludzie milczeli i mieli nieobecne spojrzenia. Jedna z kobiet miała katar, siorbała nosem. Torebka sama jej się rozpięła i z wnętrza wyłoniła się męska dłoń z chusteczką.

Usłyszałem rytmiczne stukanie. Obróciłem się i ujrzałem jakiegoś cwaniaczka, który przemieszczał się nad kolejką na szrudłach. Gdy mnie mijał, aż musiałem odskoczyć, by nie zostać trafionym jednym z nich. Pogałem za nim. Byłem szybszy. Gnałem co tchu wzdłuż kolejki, ciesząc się z tego, że jestem szybszy od szrudlarza, i jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że zaraz poznam tajemnicę – zobaczę, za czym tak stoją.

Dobiegłem do tego samego miejsca, z którego wystartowałem, i mina mi zrzedła, gdy sobie uświadomiłem, co jest grane. Okazało się, że była to niekończąca się kolejka, bez końca i początku, po prostu okrężała kamienicę...

Nagle przed jednym z kolejkowiczów wyrzucił się chodnik. Płyty chodnikowe poleciały na boki. Z dziury wyszło dwóch mężczyzn w szarych kombinezonach i ruszyli przed siebie. Jeden z nich zdawał mi się podobny do asystenta profesora z moich wyobrażeń, ale nie byłem pewien, bo obaj byli strasznie utyłani.

Usłyszałem krzyk. To przechodzień wpadł do dziury. Kolejni odruchowo robili większy krok i szczęśliwie pokonywali przeszkodę. Przyglądałem się temu przez chwilę z chora fascynacją, zastanawiając się, kiedy znowu ktoś ją przeoczy i runie w bezdenną czeluść.

Czas wracać. Przemoczony od stóp do głów dygotałem z zimna.

Wracając, minąłem mężczyznę uderzającego głową w ścianę kamiennicy. Na szarej ścianie jakiś dowcipniś nabazgrał sprayem napis: „Głową muru nie przebijesz”.

Mężczyzna po raz kolejny uderzył czołem i w tym momencie przebił się do czyjegoś mieszkania.

Warto być wytrzymałym i nie wierzyć w to, co twierdzą inni – pomyślałem.

Nie chciałem wracać do domu, ale gdzie miałem iść? Tam przynajmniej będzie ciepło. W najgorszym wypadku zakradnę się na palcach do pokoju i schowam pod łóżkiem. Będę udawał, że mnie nie ma.

Rozmyślenia przerwał potworny huk. Coś się roztrzaskało zaledwie kilkanaście metrów ode mnie.

Podszedłem bliżej i zorientowałem się, że to szczątki potężnego reflektora. Spojrzałem do góry. Siność sztucznych chmur rozwiana została na boki. Wyzierał spomiędzy nich wściekły błękit, na środku którego było rozdarcie. I zrozumiałem, że coś im się tam popsuło, że teraz sztuczne (a może urojone?) słońce będzie słabiej świecić.

Po chwili do miejsca zdarzenia podbiegł mężczyzna w szarym kombinezonie. Podrapał się po głowie i wyciągnął krótkofalówkę.

– Szefie, sektor 6c przez 24, reflektor nam się urwał.

Głos szefa:

– Że co? Że jak? Jak to się urwał?

– No urwał się, urwał no!

Znienacka pod reflektorem rozstąpiły się płyty chodnikowe i resztki reflektora zniknęły w bezdennych czeluściach.

– Niczego nie widziałeś – zwrócił się do mnie techniczny, a ja zdałem sobie sprawę, że przecież to jest ten szczerowaty pomocnik profesora z moich wyobrażeń.

Pokiwałem posłusznie głową i zacząłem sobie wyobrażać, że profesor gada teraz z wojskowym:

– O, a tu pan popatrzy. Tu zastosowaliśmy na osobniku numer 2174 fale wywołujące halucynacje. Ale takie tylko na mężczyzn działające, to też się zapewne armii przyda.

Tak, mój świat jest dziwny, materializują się w nim moje myśli. Ale nie mogę mieć pewności, że nie jest na odwrót i jestem gdzieś, gdzie wyobraźnia płata mi figle, sprawiając, że świat polany sosem z absurdu staje się znośniejszy. Jedno jest pewne – idealnie pasuje do mnie stwierdzenie „ma swój świat”.

Winda się zepsuła. Czekają mi mozolne wspinanie się na szóste piętro.

Zasapany przystawałem co dwa piętra. Na czwartym zobaczyłem uchylone drzwi.

Zajrzałem przez szparę. W środku na bujanym fotelu siedział staruszek. W jednej ręce trzymał parasolkę, bo z sufitu kapąca woda, a w drugiej książkę o tytule *Sens życia*.

Uznałem to za skrajnie bezsensowne, by czytać książkę o sensie życia, kiedy tego życia już prawie nic nie zostało. Widocznie sfiksował sąsiad na starość.

Wycofałem się na palcach i ruszyłem do domu.

Na szczęście spotworniali rodzice byli tak pijani, że usnęli snem kamiennym. Matka leżała zarzygana na podłodze, a ojciec polegiwał rozwalony jak basza na kanapie.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że telewizor jest włączony.

Lepiej wyłączyć, żeby się za wcześniej nie przebudzili – stwierdziłem.

Ale gdy podszedłem bliżej, to mnie kompletnie zamurowało. Akurat leciał jakiś teleturniej. Prowadzący emocjonował się tak bardzo, że aż poczerwieniał na twarzy:

– Pamiętacie państwo Stefana, który wciąż mylił żonę z meblami?

Po chwili ujrzałem kolejkę, tę samą, która nie miała ani końca ani początku. Stał w niej mój ojciec...

Zrobiono zbliżenie na jego twarz.

– To właśnie Stefan!

W dźwięku pojawiły się oklaski. Po chwili ucichły.

Obejrzałem się za siebie. Ojciec nadal leżał na kanapie. Znowu spojrzałem na ekran.

– Dzięki waszym głosom postanowiliśmy usunąć go z programu.

W chwili, gdy komentator wypowiadał te słowa, zrobiono przebitkę na chodnik, gdzie rozsunęły się płyty i z czeluści wyszło dwóch umorusanych mężczyzn w szarych kombinazonach. I ja też tam byłem. I patrzyłem, jak odchodzą. A potem widziałem ojca, jak wpada do dziury. I zobaczyłem, jak bardzo się cieszę – tyle tylko, że tego nie pamiętałem i miałem wrażenie, że stałem wtedy spokojnie i patrzyłem, czy kolejni kolejkowicze nie wpadną do dziury.

Po chwili ten ja w telewizorze zrobił coś, czego w ogóle się nie spodziewałem – widziałem siebie w całej swej pokraczności, jak schylam się po spory kamień, jak się odwracam i z szerokim uśmiechem rzucam nim.

Odskoczyłem, gdy kamień trafił od wewnątrz na ekran.

Obraz zgasł. Na środku ziała czarna dziura, a na boki zygzakami rozchodziły się pęknięcia.

Zmartwiałem z przerażenia. Rodzice mnie zabijają! Będą myśleli, że to ja!

Z dziury w ekranie usłyszałem cichy głos:

– Zejdź do piwnicy.

Obejrzałem się na rodziców. Pijani, nieprzytomni.

Głos miał rację, w piwnicy będzie bezpiecznie i w miarę ciepło, a jakby ktoś tam zszedł, to przecież jest mnóstwo zakamarków, gdzie można się schować.

Na palcach podkradłem się do drzwi wyjściowych i już po chwili zbiegałem po schodach.

W ciemnościach wymacałem włącznik. Po zapuszczonych piwnicznych korytarzach rozlała się mdła żółć.

– Zejdź na dół – usłyszałem szept.

– Kto tam? – zawołałem.

– Zejdź na dół – powtórzył głos.

Zawahałem się przez chwilę, ale przecież głos chciał mi pomóc, wskazał bezpieczną kryjówkę. Postanowiłem go posłuchać.

Ostrożnie zszedłem na dół.

– Idź w lewo, a na końcu korytarza skręć w prawo, zobaczysz... – zamilkł.

– Co zobaczę?

Głos nie odpowiedział.

– Co zobaczę?

Nadal nic.

Domyślając się, że nie doczekam się odpowiedzi, a jednocześnie czując narastające zaciekawienie, mimo lekkiego niepokoju ruszyłem tam, gdzie kazali iść.

Gdy skręciłem w prawo, ujrzałem ślepy zaułek. Najwycyżajniej w świetle była tam murowana ściana. Ale jeden szczegół przykuł moją uwagę – jedna z cegieł wystawała. Ostrożnie do niej podszedłem i pociągnąłem, chcąc sprawdzić, czy da się ją wyciągnąć.

Dało się.

Spodziewałem się znaleźć tajemniczą skrytkę pełną czyichś skarbów albo tajemnic, ale to, co ujrzałem, wprawiło mnie w osłupienie.

Tam po drugiej stronie był inny świat...

Był piękny – lśnił czystością!

Widziałem czyjąś jadalnię oświetloną promieniami słońca. A prawie nie pamiętałem już, jak wyglądał słoneczny dzień, u nas przecież zawsze padało. I ta czystość! A tu wszędzie brud...

Na stole stał wazon pełen kwiatów. Czuję ich zapach. Tam nie śmierdziało, tam pachniało!

Do stołu podeszła kobieta i coś na nim postawiła. Odwróciła się i...

To była moja mama! Ale taka normalna, nie spotworniata!

Była czysta, zdrowa i przede wszystkim trzeźwa.

I na dodatek się uśmiechała!

Po chwili pojawił się ojciec z kolejnymi talerzami. I on też był taki, jaki powinien być. Normalny! Taki cudownie normalny!

A potem... potem ja, ale jednocześnie jakby nie ja!

Nie było potwornej narośli na czole. Ja byłem tam zupełnie zdrowy i roześmiany, szczęśliwy!

Nagle wszystko zniknęło i poczułem potworny smutek.

– Chcesz tam być? – zapytał głos dobiegający z czarnej dziury po cegle.

– Tak! – wykrzyknąłem.

– Musisz wrócić do domu i zabić potwory. Tylko tak uwolnisz rodziców z ich władania. A potem musisz tu wrócić, wtedy pozwolimy ci tam wejść i być tym zdrowym tobą z normalnego świata.

– Mam ich zabić? – spytałem niepewnie.

Ale głos nie odpowiedział.

Nóż. Długi, ostry, brudny. W pierwszym odruchu chciałem go umyć, by choć śmierć mieli czystą, ale się rozmyśliłem. Liczyła się każda sekunda, w każdej chwili mogli się obudzić.

Zakradłem się do pokoju.

Postanowiłem zacząć od ojca. Stanąłem nad nim, uniosłem rękę, by zadać cios, i... Nie mogłem, coś się we mnie zablokowało. Przecież to spotworniało coś, to mój ojciec. A na dodatek teraz, kiedy leżał nieprzytomny, miał taką spokojną twarz, prawie pogodną.

Potwory potrafią się doskonale maskować – podszeptał mi głos w głowie. – Jak się przebudzi, sam zobaczysz.

Miał rację. Zamknąłem oczy i uderzyłem. Raz! Drugi! Trzeci!

Otworzyłem oczy. Było po wszystkim. Plamy krwi i zastygły na twarzy wyraz zaskoczenia przemieszanego z przerażeniem.

Pokrak wymierzył karę – pomyślałem z satysfakcją.

Odwróciłem się i niewiele myśląc, wbiłem matce nóż w pierś, głęboko, po sam uchwyt. Gdy to zrobiłem, zamknąłem oczy, by nie widzieć jej śmierci, by jej spojrzenie nie przesładowało mnie potem w koszmarach. W normalnym świecie chciałem mieć normalne sny. Poza tym przecież to tu jest koszmar – być może nawet jestem uwięziony w koszmarze sennym tamtego siebie, tego z normalnego świata. No i tam będę miał normalnych rodziców, nie takich spotworniałych.

Matka zastygła w bezruchu. Wreszcie mogłem otworzyć oczy. Starąłem się nie patrzeć na twarz, jakoś mimo wszystko było mi jej szkoda.

Zszedłem do piwnicy. Znowu zapaliłem światło. Znowu mdła żółć rozlewająca się po zakurzonym wnętrzu. Znowu korytarz.

Skręciłem w prawo, tak jak poprzednio. Ale wystającej cegły już tam nie było – tylko idealnie gładka murowana ściana. Odwróciłem się zaskoczony, ale za mną też pojawiła się ściana. Serce zaczęło mi łomotać. Znowu gwałtownie się obróciłem, ale w miejscu, gdzie powinna być ściana z obluzowaną wcześniej cegłą, był korytarz...

Co się dzieje?

Zgasło światło. Na szczęście w kieszeni miałem pudełko zapatek. Otworzyłem. Ostatnie trzy.

Drżąc dłońią potarłem główką zapalki o draskę, ale tylko się skruszyła.

Spróbowałem z następną. Zapłonęła. Ruszyłem ostrożnie przed siebie. W pewnym momencie doszedłem do ściany. Odwróciłem się. Za mną znowu była ściana, a przecież być nie powinna.

Podmuch powietrza. Ciemność.

Kolejna zapalka. Ściany przede mną nie ma, zniknęła. Czyli mogę wrócić. Chyba...

Byłem zbyt przerażony, by myśleć racjonalnie o tym, co się dzieje. Chciałem się po prostu jak najszybciej wydostać na zewnątrz.

Niestety, znowu dobiegłem do ściany. A na domiar złego ogień parzył mi już opuszki palców. Musiałem zgasić zapalkę.

Ciemność. Byłem uwięziony w ciemnościach w dziwnej piwnicy, w której pojawiają się i znikają ściany.

Usłyszałem złośliwy chichot. Potem kolejny. I jeszcze jeden.

Skuliłem się w sobie, chciałem zniknąć. Czuję paralizujący lęk.

– Jesteś teraz jednym z nas – zaskrzeczał głos.

– Jednym z nas – dodał drugi.

Nas! Nas! Nas! – obłąkańczo wykrzykiwał trzeci.



Jacek Bodzak, *Nowy wspaniały bezbogoświat*